

Mucha nie siada czyli arbuzowa opowieść. Część 6 - Szkoła latania



Siedziałem pod arbuzową palmą. Wiatr przyjemnie wiał od morza, cały czas z tego samego kierunku. Był odczuwalny, jednak niezbyt silny. Idealny do latania. Zamknąłem oczy, aby choć w myślach wzbić się w powietrze. Moje skrzydło zostało na polanie, na której wylądowałem chwilę przed pojawieniem się motyla. Mam nadzieję, że nie będzie tam padać – pomyślałem – bo by zmokło. A nie mam miejsca, gdzie mógłbym je potem wysuszyć.

Fajnie byłoby znowu wzbić się do chmur i choć przez chwilę być bliżej słońca! Odkąd pamiętam uwielbiałem latać, choć latałem tylko w swojej wyobraźni. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jakie to uczucie, gdy wszystko pozostaje na ziemi, a ty, ubrany w wolność ptaka, wzbijasz się w bezkres przestrzeni. Nie wiedziałem też, jak to jest, gdy dostrzegasz piękno ziemi patrząc na nią z góry, a widoki zapierają dech w piersiach. Nie wiedziałem, jakie to uczucie, gdy każdą cząstkę ciebie wypełnia radość życia i wdzięczność, że możesz to wszystko przeżywać. Tam, w powietrzu, wszystko co złe, wydaje się mniejsze, ale to, co dobre, ma wielkość horyzontu. Tak to sobie wyobrażałem, a latanie od zawsze było moim marzeniem. Przyszedł w końcu moment, w którym zrozumiałem, że marzenia się nie spełniają,

tylko je się spełnia. I kiedy to zrobiłem, już nie musiałem sobie niczego wyobrażać. Mogłem po prostu przeżywać.

Otworzyłem oczy, lecz miałem wrażenie, że śnię. Może gdy je zamknąłem, rzeczywiście zasnąłem utulony wiatrem? Bo jak inaczej wytłumaczyć widok Alfiego, który zakłada moją uprząż, a wiatr raz po raz podnosi skrzydło, co sprawia, że Alfiemu trudno jest zapiąć klamry? Trwało to chwilę, jednak szybko zdałem sobie sprawę, że to nie jest sen. Nawet nie zdążyłem odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd tu się wzięło moje skrzydło i uprząż. Podbiegłem do Alfiego i opuściłem skrzydło na ziemię.

- Nie tak prędko, panie pilocie - powiedziałem żartobliwie. - A tak w ogóle, to gdzie się pan wybiera?

Alfi był strasznie nakręcony szczęściem i miałem wrażenie, że mnie nie usłyszał. Jego oczy świeciły radością jak latarnia morska, tylko że o wiele, wiele mocniej.

- Chcę latać!!! - wykrzyknął radośnie. A echo, które pojawiło się nie wiadomo skąd, powtarzało jego słowa. Co ciekawe, nie coraz ciszej, jak to zazwyczaj robi echo, ale coraz głośniej. Podniosłem dłoń, na co echo zamilkło.

- Hmm, rozumiem cię doskonale, przyjacielu - odpowiedziałem. - Są na to dwa sposoby. Możesz polecieć ze mną, jako pasażer...

- A drugi sposób? - przerwał mi podekscytowany Alfi.

- Możesz się wszystkiego nauczyć i sam zostać pilotem, choć wymaga to czasu i ćwiczeń. Jednak zachęcam cię do tego - wyjaśniłem, równie podekscytowany rozmową o lataniu.

- A nauczysz mnie? Proooszęęę... - powiedział Alfi błagalnym głosem, patrząc na mnie swoimi dobrymi oczami.

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Mówiąc mu o nauce latania, nie pomyślałem o sobie, jako tym, który miałby go uczyć. Jednak fakt był taki, że nikogo innego nie było. Rozejrzałem się jeszcze, ale budynku z napisem *SZKOŁA LATANIA* nie zobaczyłem.

- Skoro tego chcesz... - zacząłem i wziąłem oddech, aby wytłumaczyć mu, jak to będzie wyglądało, gdy znów mi przerwał.

- A zabierzesz mnie też na lot, jako pasażera? - zapytał cicho, pełnym nadziei

głosem.

- Z radością - wyszeptałem mu do ucha.

- HUUURRRRAAA! - wykrzyknął Alfi tak głośno, że aż podskoczyłem - będę laaataaaa! - kontynuował jeszcze głośniej. Wiedziałem, co czuje. Sam z takim entuzjazmem reaguję na wszystko, co dotyczy latania.

Alfi biegał jak oszalały, wykrzykując na całe gardło, że będzie latał. Nie sposób było go uciszyć - bo i po co? Musiał dać upust swemu szczęściu i robił to w najlepszy możliwy sposób. Jego niekończący się radosny krzyk przywiódł do nas wszystkich mieszkańców wyspy. Pytali o powód takiego stanu Alfiego, który nawet jak na niego był niezwykły. Wyjaśniłem, o co chodzi, a wtedy przed moimi oczami pojawił się las rąk i usłyszałem wykrzyczane chórem:

- My też chcemy leeeecieeee!!!

Nie mogłem ich uspokoić. Nie dopuścili mnie nawet do głosu, gdy chciałem powiedzieć, że nie ma tylu uprząży, że tak naprawdę jest tylko jedna. Jedna uprząż i grupa rozentuzjasmowanych pasażerów. W tamtej chwili zapragnąłem mieć siedem uprząży, aby każdy mógł polecieć. Pragnąłem z całego serca zabrać przyjaciół w lot nad wyspą i wspólnie z nimi to wszystko przeżyć. Spuściłem głowę, będąc bliski smutku, gdy Róża podeszła do mnie i zapytała:

- Jak to się zakłada?

Spojrzałem na nią i... zaniemówiłem. Próbowwała założyć uprząż w kolorze swoich włosów. Zresztą, nie tylko ona. Z większym lub mniejszym skutkiem, wszyscy próbowali zapinać swoje uprząże, z których każda była innego koloru i była idealnie dopasowana do pasażera.

- Skąd ją masz, Rózo? - spytałem, nadal nie wierząc w to, co widzę.

- Leżała tam o tam gdzie wszystkie - odpowiedziała, wskazując palcem na miejsce, gdzie została już tylko moja uprząż. - Pomożesz mi ją ubrać? - spytała, nie kryjąc radości.

- Oczywiście, już ci pomagam - powiedziałem i zapiąłem po kolei wszystkie klamry.

Czyli to tak działa? - zapytałem sam siebie w myślach, od razu też sobie odpowiadając. Chyba poznałem tajemnicę pojawiania się rzeczy na wyspie z

arbuza. Ale jeśli jest tak, jak myślę, to skąd się wzięła moja uprzęż i moje skrzydło? Nie zagłębiałem się jednak w rozmyślania. Każdemu po kolei pomogłem założyć uprzęż, a na koniec założyłem swoją. Poszliśmy razem na małe wzniesienie, zwrócone w stronę morza. Wyglądało na idealne miejsce do startu. Ledwo mogłem wszystkich uciszyć, aby wytłumaczyć, jak to zrobimy. Gdy tylko skończyłem, od razu znowu podniósł się gwar. Aż miło było patrzeć na radosne twarze wypełnione po brzegi uśmiechem. Ustawiłem przyjaciół w rzędzie, gęsiego i spiałem specjalnymi rozpórkami, wpinając wszystko na koniec do swojej uprzęży. Poczułem nagły przypływ adrenaliny, jaki czuję przed każdym lotem.

- Gdy powiem „Biegniemy!”, to biegniemy wszyscy, ile sił w nogach - zacząłem i nim się spostrzegłem, wszyscy już biegli. - No tak - pomyślałem - przecież powiedziałem „Biegniemy!”...

Alfi, który ruszył jako pierwszy, minął krawędź uskoku wzniesienia. Po chwili byliśmy w powietrzu, gdzie nawet oszczędny w okazywaniu emocji Mędrzec uśmiechał się szeroko, rozkoszując się uczuciem lotu. Wzlecieliśmy wysoko ponad wyspę, ogarniając ją całą wzrokiem. Ani na chwilę nie ustał gwar, wywołany zachwytem nad widokami i uczuciem, które znają tylko ptaki. W pewnym momencie Tomi pociągnął nosem i zapytał:

- Czujecie ten zapach?

- O tak! - odpowiedziała Wrażliwość, biorąc głęboki wdech.

- Tak właśnie pachnie wolność - dodała Juanita, której włosy jakby nie były już całkiem fioletowe.

Ja też czułem ten zapach, tak jak za każdym razem, gdy wznoszę się w powietrze. Tylko, że tym razem ten zapach był wyjątkowy.

To był najwspanialszy lot w moim życiu. Byłem szczęśliwy, a wiecie dlaczego? Nie dlatego, że leciałem, ale dlatego, że oni lecieli. Patrząc na ich szczęście zrozumiałem, co czyni mnie tak naprawdę szczęśliwym. Łza szczęścia zsunęła mi się po policzku, aby po chwili udać się w swój własny lot. Spojrzałem na nią i zobaczyłem w niej swoje odbicie. Gdy już miała dotknąć piasku, uśmiechnąłem się - to była kropla z rysunku Tomiego!

Lataliśmy potem bardzo często. Już nie musiałem im opowiadać o tym, co czuję latając, bo sami poznali to uczucie. Od tamtego dnia coś się zmieniło, coś bardzo

ważnego. Coś, co nadało wszystkiemu inny wymiar. Nie było już mojego skrzydła, ani mojego latania. Było za to nasze skrzydło i nasze latanie. I co ciekawe, dzieląc się tym z nimi nic nie straciłem, a tylko zyskałem.

Zastanawiacie się pewnie, jak Alfiemu szła nauka latania? Starał się z całych sił i dużo ćwiczył, garściami czerpiąc z latania radość. Uszczęśliwiała go, gdy wznosił się choć metr nad ziemię, ale nie mniejszą frajdę sprawiało mu, gdy nie wznosił się wcale. Jego determinacja musiała jednak w końcu przynieść skutek.

- Alfi, pamiętaj: biegniesz, łapki w górze, a gdy poczujesz, że wiatr cię unosi, to i ty unosić je nad głowę - udzielałem mu ostatnich wskazówek.

Przystanął przy mnie Mędrzec i razem obserwowaliśmy kolejną próbę Alfiego, który ruszył. Zrobił dokładnie tak, jak mu mówiłem. Podmuchał wiatru, krawędź i...

- Ty latasz, Alfi! Naprawdę latasz! - krzyknąłem ciszą, gdy Alfi wzbił się w powietrze. Naprawdę leciał!

- Ja leeeecęęę!!! - głos Alfiego niósł się po całej wyspie. A razem z nim niosło się jego szczęście...

Mędrzec uśmiechnął się tylko i poszedł w swoją stronę. Gdy Alfi wylądował, nie mógł przestać opowiadać o tym, co czuł, kiedy leciał. Doskonale go rozumiałem i wysłuchiwałem jego opowieści z zapartym tchem. Wróciliśmy już, kiedy zatrzymałem się i patrząc na Alfiego spytałem:

- Jak to jest? Skoro na wyspie z arbuza pojawia się to, czego zapagniemy dla innych, to skąd się wzięło moje skrzydło i uprząż? Kto zapagnął tego dla mnie?

- A czy to ważne, kto? Ważne, że zapagnął, a jeszcze ważniejsze, że zrobiłeś z tego odpowiedni użytek, przyjacielu - odparł Alfi i ruszył przed siebie, nie przestając się uśmiechać.

Gdy doszedłem do domu, nad drzwiami wisiała tablica z namalowaną arbuzową kredką napisem *SZKOŁA LATANIA*. Ciekawe, kto tu kogo uczy? - pomyślałem, odkładając skrzydło. Nasze wspólne skrzydło.